



Andrzej Śarwa

Gałązka

rajskiej jabłoni

Baśnie polskie

Gałązka rajskej jabłoni

Andrzej Sarwa

Gałązka
rajskiej jabłoni

baśnie polskie

Armoryka
Sandomierz 2010

Tekst: Andrzej Sarwa

Redaktor: Władysław Kot

Projekt okładki: Juliusz Susak

Tytuł na okładce złożono czcionką *Stranconian.ttf*,
której autorem i właścicielem jest Dave Nalle, The Scriptorium, www.fontcraft.com

Ilustracja na okładce: Martin Johnson Heade (1819–1904), *Hummingbird And Apple Blossoms*,
(licencja: public domaine), źródło: http://commons.wikimedia.org/wiki/File:Heade_Martin_Johnson_Hummingbird_And_Apple_Blossoms.jpg

Copyright © 2010 by Wydawnictwo „Armoryka”

Wydawnictwo ARMORYKA
ul. Krucza 16
27–600 Sandomierz
tel 15 833 21 41
e-mail: wydawnictwo.armoryka@interia.pl
<http://www.armoryka.strefa.pl/>

ISBN 978–83–62173–52–5

Grzeczność wynagrodzona

Chociaż Franciszek liczył już prawie czterdzieści lat, to przecie krzepki był niczym dąb. Postawny i urodziwy mężczyzna miał jeszcze i tę zaletę, iż był bogaty - najbogatszy we wsi.

Ziemi posiadał dużo, i to urodzajnej. Ponadto krowy, konie, świnie, a drobiu bez liku. Mięso często gościło na jego stole, a jaj i omasty nigdy sobie nie żałował.

Nie dziwny się zatem, że kiedy przedwcześnie zmarła jego żona, to chociaż jeszcze na jej mogile nie wyrosła trawa, już swatowie i swatki jęli pukać do drzwi naszego wdowca.

Mimo iż najpierw nie był skory do ponownego ożenku, to przecież owo ustawiczne nachodzenie go, namawianie, a przekonywanie w końcu dały rezultat.

Tym razem długo się zastanawiał, kogoż to poślubić. Wreszcie, po namyśle, jego wybór padł na trzydziestoletnią wdowę, znaną z zaradności i gospodarności, i chociaż ubogą, to mającą tę zaletę, iż była niezwykle urodziwa.

Skoro zatem przeminął roczny, obowiązkowy okres żałoby. Franciszek poprowadził swoją wybrankę do ołtarza.

A potem było huczne weselisko. Na tę okazję zabito krowę i dwa świniaki, że o kurach, gęsiach, indykach i kaczkach nie wspomnę.

Ucztowała i tańczyła cała wieś i to nie przez jeden dzień tylko. Wesoło było, oj wesoło, bo i gorzałki nie brakowało, a skoro jej nie brakowało, toteż nikt jej sobie nie skąpił.

Marianna - tak było na imię nowej żonie Franciszka - zaraz po ślubie sprzedała swoją starą chałupę i wprowadziła się pod dach męża.

* * *

Teraz nadeszła pora, by powiedzieć, że zarówno Franciszek, jak i Marianna mieli każde po jednej córce. Franciszkowa zwała się Kasia, Marianny natomiast Różia.

Być może, iż dziewczynkom udałoby się ze sobą zaprzyjaźnić, ba! stać prawdziwymi siostrami nawet, gdyby nie Marianna, która od pierwszej chwili znienawidziła swoją pasierbicę.

Ileż to zła i krzywdy wyrządziła owemu dziecku, które z natury dobre było, ciche i spokojne, nikomu nie wadzące i nadzwyczaj posłuszne.

Swoją Rózię stroiła ponad przepych, gdy tymczasem Kasia chodziła zaniedbana i obdarta, niczym córka żebraka.

Swojej Rózi podtykała co najlepsze kąski, podczas gdy Kasia ustawicznie była głodna, bowiem tyle tylko dostawała - najczęściej stary uschnięty chleb i resztki zupy z obiadu - aby nie umarła z głodu.

Różia sypiała na wielkiej puchowej poduszce, przykrywając się wielką puchową pierzyną, podczas gdy Kasia kładła pod głowę starą zwiniętą szmatę, a okrywała się lada jakim łachmanem.

Franciszek, który niegdyś przecież kochał swoją córkę, teraz jakoś zobojeźniał na jej los. I chociaż widział jak źle i okrutnie obchodzi się z nią Marianna, nie reagował na owo zupełnie.

Czasem tylko, bardzo sporadycznie, zdejmował ze swego talerza jakiś lepszy kąsek i podawał go Kasi. A ta przyjmowała go z wdzięcznością, ciesząc się z ojcowskiej „dobroci”.

Jak więc widzicie, dziewczynka byłaby całkowicie osamotniona gdyby nie wielki czarny, upstrzony białymi łatkami na grzbiecie i ozdobiony białym krawatem na szyi, kot Mruczek.

Zwierzak nie odstępował Kasi ani na krok, tulił się do niej, ocierał o nogi, a kiedy zapadała noc, wchodził na jej bartóg, wsuwał się pod wystrzępione okrycie i śpiąc ze swoją panią rozgrzewał ją ciepłem swego miękkiego futerka.

Skoro macocha spostrzegła, jak wielka jest przyjaźń między pa-sierbicą, a Mruczkiem, nie mogąc tego ścierpieć, precz przepędziła zwierzątko.

Na darmo kotek próbował, przez wiele kolejnych dni, przekroczyć próg domostwa. Ilekroć bowiem Marianna go spostrzegła, tylekroć dostawał tak straszne cięgi, iż nieraz z zakrwawionym pyszczkiem musiał ratować się ucieczką.

Nie dziwny się przeto Mruczkowi, że mimo miłości, jaką darczył swoją młodziutką panią, wyprowadził się z chałupy na dobre, zapuszczając się tylko od czasu do czasu do obory. Miłe mu bowiem było zdrowie, a może nawet i życie.

Macocha widząc, że udało się jej pozbawić Kasię jedyne-go przyjaciela, ucieszyła się ogromnie. Ta radość trwała przez kilka dni, do chwili gdy zaczęła przemyśliwać nad jakąś nową podłością, jakąś nową udręką i złem, które mogłaby wyrządzić dziewczynce.

Myślała i myślała długo, lecz jakoś nic oryginalnego nie przy-chodziło jej do głowy.

Łaziła tedy po chałupie zła i ponura, ciskając garnkami i trza-skając drzwiami, zaniedbawszy zupełnie zajmowanie się obowiązkami gospodyni.

Franciszek, który - jak wiecie - całkowicie dostał się pod panto-fel nowej żony, nie reagował na to zupełnie. Ba! Ustępował jej z drogi, mówił nieomal szeptem i bez szemrania spełniał każdy rozkaz, każdą zachciankę Marianny.

Nie sprzeciwiał się i temu żądaniu, aby jego Kasia raz na zawsze wyniosła się z izby i zamieszkała w oborze wraz z krowami.

Posłusznie zebrał jej lichy przyodziewek, który zawiesił na gwoździu wbitym w ścianę, a poniżej, na ziemi, wymościł jej po-

słanie ze słomy, którą cichaczem - aby Marianna tego nie zobaczyła - przyniósł ze stodoły.

Pierwszą noc, spędzoną poza izbą, wśród zwierząt, dziewczynka przepłakała. Mimo okrutnego zmęczenia, jej żal był tak wielki i tak wielki smutek, że nie udało się jej ani na moment zmrużyć oka.

Jedyną pociechę stanowiło to, iż nad ranem, gdy świt jał różowić niebo, przez niewielkie niedomknięte okienko wślizgnął się jej przyjaciel - kot Mruczek.

Pochwyciła go na ręce, przytuliła czule do piersi i obsypała pocałunkami. A on ocierał się pyszczkiem o jej policzek i głośno mruczał, wyraźnie uszczęśliwiony ze spotkania, na które obydwójce tak długo czekali.

* * *

Zima zbliżała się wielkimi krokami. Z drzew poopadały ostatnie liście, nocne przymrozki ścinały kruchymi tafelkami lodu kałuże, które się porozsiadały na środku gościńca. Puste o tej porze roku pola, rozciągały się het, po horyzont.

Słońce rzadko teraz gościło na niebie, za to chmury i deszcz były nieomal codziennym zjawiskiem.

Kto nie miał na to czasu w lecie, teraz zamasyście wywijając siekierą rąbał drwa, a potem układał je popod ścianami stodoły, czy szopy, kędy piętrzyły się wysoko, oczekując swojej kolejki na spalenie.

Tego dnia do południa siąpił drobny deszczyk, gruntownie nasączając gliniastą powierzchnię dróżki wiodącej od chaty Franciszka ku gościńcowi, przemieniając ją w grząskie i lepkie błoto. W południe deszcz ustał, ale za to z nisko zawieszonych nad ziemią białawych chmur jał prosić drobnutki niczym kasza jagłana śnieg.

Kasia na polecenie macochy pracowicie przebierała groch, z utęsknieniem wyczekując obiadowej pory, kiedy to będzie mogła

się posilić swoją skibką chleba i resztkami zupy. A być może czymś więcej, jeśli macosze akurat dopisze humor.

Ale do obiadu było daleko, tymczasem głód tak ścisnął jej wnętrzności, iż momentami słabła, a przed oczyma wirowały jej czarne plamy.

Spróbowała żuć surowe ziarno grochu, przez co stępiła nieco ssanie w żołądku, chociaż bynajmniej nie zaspokoila łaknienia.

Mruczek, jakby rozumiejąc niedolę dziewczynki, cicho się wślizgnął do szopy, w której pracowała i złożył u jej stóp, niesioną w pyszczku, tłustą, szarą mysz.

Kasia pogłaskała go czule:

- Oj, kotku, kotku. Mój ty kochany. Lepsze masz serce od ludzi. Dzielić się chcesz ze mną swoją zdobyczą, ale ja myszy nie jadam. Zjedz sam i niech ci idzie na zdrowie.

Mruczek zatem, odczekawszy dłuższą chwilę, by się do końca upewnić, czy aby Kasia nie zmieni zdania, z widowym łakomstwem sam pożył to, co przyniósł z pola, a może z lasu.

Dzień powoli się kurczył, niebo stawało się coraz ciemniejsze, a powietrze szare. Z dworu do obory, w której Kasia szykowała się do snu, dobiegał jednostajny szum i plusk ulewy.

Mruczek przysiadł na legowisku ze słomy okrytej starym łachmanem i pracowicie wylizywał futerko swoim różowym, ostrym języczkiem.

Kasia wiedziała, że kładąc się teraz, o tak wczesnej porze, jeszcze przed dojeniem krów, które stały nieopodal pracowicie przeżuwając siano, narazi się na gniew macochy.

Lecz nie zważała na to. Czowała się bardzo chora. Czoło miała rozpalone, gardło bolało ją tak, iż z trudem tylko przetykała ślinę, a prócz tego - co i raz - wstrząsały nią dreszcze.

Zwinęła się tedy w kłębek na wygniecionym barłogu, najszczelniej jak tylko mogła okrywając się kapotą, pod którą natychmiast wślizgnął się Mruczek, rozgrzewając ją swoim gibkim ciałkiem.

Opowieść o czarodziejskiej lasce

Dawno, dawno temu, w pewnej wsi leżącej nad brzegiem wąskiej lecz głębokiej rzeki, stał młyn, a obok młyna obszerny i wygodny dom, który zamieszkiwał młynarz wraz z żoną i córką jędnaczką.

Trochę dalej, za zakrętem rzeki, znajdowała się wieś. Ot, taka zwyczajna wieś. Wzdłuż wyboistej drogi - po obydwu jej stronach - stały chałupy niskie, jakby wpół zapadłe w ziemię. Jedne zbite z grubo ciosanych bierwion sosnowych, inne zlepione z kamienia, ale wszystkie o jednakowo koślawych kominach, słomianych strzechach i wszystkie wybielone wapnem.

Przed chałupami, w miniaturowych ogródkach, rosły wysokie malwy o różnobarwnym kwieciu, żółte i pomarańczowe nagietki i nasturcje, białe lilie, kamienne goździki i nieco ziół: boże drzewko, melisa, maruna i mięta.

Z tyłu za chałupami były podwórza a w ich głębi drewniane, również strzechą kryte stodoły, chlewy, kurniki i stajnie. W niektórych obejściach kilka śliw, wiśni, krzywa jabłoń i grusza udawały sad.

Sennie płynęło życie i we wsi, i w młynie, życie któremu rytm wyznaczały pory roku i nic ponadto.

Rano obrządzano zwierzęta, dojono krowy, potem po skromnym śniadaniu wyruszano w pole, w południe posilano się obiadem, pod wieczór obrządzano zwierzęta, znów dojono krowy...

Później pyzaty księżyc wypływał na ciemny granat nocnego firmamentu, wszystko ogarniała cisza i jedynie tylko psy poszczekiwały aż do rana, a gibkie koty wyruszały na łowy wśród pól.

Skoro niebo poczynąło szarzeć, koguty donośnym głosem budziły ludzi i zaczynał się nowy dzień.

Właśnie jednego takiego ranka pewien gospodarz, dość zamożny gospodarz, wysłał do młyna swojego parobka, który oprócz własnych rąk do pracy i połatanej kapoty na grzbiecie, nie posiadał niczego.

- Załaduj kilka worków zboża na furę, a rzeknij młynarzowi, aby się pośpieszył z robotą, bo mało co mąki zostało nam w domu.

Spełnił chłopak polecenie i prędko wyjechał z podwórza na drogę. Drewniane, okute żelaznymi obręczami koła, zaturkotały na wybojach, a po chwili wóz skrył się za zakrętem.

Zajechawszy przed młyn, ściągnął lejce, przywiązał je do koślawych sztachet płotu i począł przenosić worki z fury do młyna.

Skoro już skończył ową robotę i rzekł młynarzowi co miał rzec, idąc do wozu omal nie zderzył się na podwórzu z piękną, dostatnio ubraną dziewczyną.

Była niezbyt wysoka, ale nadzwyczaj kształtna. Miała długie warkocze, z których jeden opadał jej na pierś, drugi zaś na plecy. Oczy zaś błękitne niczym czyste niebo w sierpniowy dzień, pąsowe, ślicznie wykrojone usta, łagodnie zarysowany podbródek i długie rzęsy kładące cienie na policzkach sprawiały, iż niejednen chłopak we wsi wzdychał ku młynarzowej córce.

Ona jednak jakoś do tej pory na żadnego z zalotników nie zwracała uwagi bardziej jeszcze czując się małą dziewczynką, niż dorosłą panną.

Lecz musiał przecie nadejść ów dzień, kiedy serce winno jej zabić żywiej na widok chłopaka. I dzień ten nadszedł akurat wówczas, gdy nasz biedny parobek przywiózł zboże swego gospodarza do zmielenia.

Na widok parobka młynarzówna poczuła dziwny ucisk w piersi i jakąś niedookreśloną tęsknotę. W jednej chwili zrozumiała, że nie żyć jej bez niego, że on i tylko on i, że żaden inny nie może ją poślubić.

Ale nie dała tego poznać po sobie i czym prędzej pobiegła do domu. Za to chłopak stał jak skamieniały, długo jeszcze wpatrując się w drzwi wejściowe młynarzowej sadyby, w których znikła dziewczyna.

Od owej chwili żadne z młodych nie zaznało już spokoju. Choć serca stęsknione rwały ku sobie: on - nędzarz, ona - córka bogacza, mieli świadomość, iż nie dane im będzie wspólnie spędzić życie.

Ale dziewczyna nie wytrzymała męki i któregoś dnia rzekła rodzicom:

- Nie ma dla mnie życia bez Jaśka! Jeśli mnie za niego nie wydadacie z dobrej woli, to i tak wezmę go sobie za męża choćby i bez waszego błogosławieństwa.

Próżno rodzice tłumaczyli, próżno przekonywali dziewczynę. Próżno prosili, ba! błagali nawet. Nie chciała słuchać ich próśb i wciąż powtarzała:

- Nie masz dla mnie życia bez Jaśka!

Cóż tedy młynarz miał uczynić? Nie pozostało mu nic innego, jak tylko być uległym wobec woli córki jedynaczki.

Któregoś niedzielnego popołudnia poprosił zatem parobka do siebie i przechadzając się z nim brzegiem rzeczki, wyłuszczył mu rzecz całą.

- Tylko niech ci się aby w głowie nie przewróci, Jaśku - ozwał się na koniec.

- Gdybym się nie obawiał, iż mi się dziewczucha od owej ochoty do żeniaczki z tobą rozchoruje, anibyś słuchać nie chciał o takim zięciu! Dla mnie zawsze będziesz parobkiem i niczym ponadto!

Upadł Jasiak na kolana przed młynarzem i całując po rękach zawołał:

- Dzięki wam, dzięki stokrotne! Jeśli będę miał waszą Kasię za żonę, niczego mi nie będzie trzeba więcej! Możecie mnie traktować jak najgorzej, a ja i tak będę szczęśliwy!

- Żeby to prawda była - mruknął młynarz pod nosem i wyjąwszy kilka monet z kieszeni, wręczył je parobkowi ze słowami:

- Idź, daj na zapowiedzi, boć przecie nie wypada, abym ja to czynił, albo moja córka.

W miarę upływu czasu, w miarę jak nieubłaganie zbliżał się termin ślubu jego Kasi z ubogim parobkiem, humor młynarza ciągle się pogarszał, zaś młynarzowa chodziła z ustawicznie podpuchniętymi od płaczu oczami i przez łzy mówiła:

- Córkuś, moja córkuś, czy cię rozum opuścił, że chcesz iść za takiego dziada?

- Nie zaczynajcie, matko, od początku. Nie żyć mi bez Jaśka - odpowiadała dziewczyna. - Nie żyć mi bez niego, rozumiecie?

W pewien wieczór, gdy słońce skryło się na zachodzie, a zorze ubarwiły horyzont szkarłatem, żółcią i fioletem, do drzwi młynarszego domostwa ktoś zapukał gwałtownie.

Młynarzowa otwarłszy, zobaczyła stojącego na progu bogato odzianego szlachcica, który trzymając smoliscieczarnego ogiera za uzdę, ukłonił się grzecznie i zapytał:

- A nie przenocowalibyście mnie, kobieto?

- Jaśnie panie - odparła na to baba. - Toć do dworu nie będzie dalej jak mila. Jedźcie tam. U nas, cóż, nie zaznacie wygod, ani nie skosztujecie jadła godnego waszego podniebienia.

- Pojechałbym, a jakże - ozwał się na to szlachcic ale koń mi okulał. A zresztą to na jedną noc tylko.

- Tedy wejdźcie, panie. Wielki to zaszczyt dla nas, gościć tak znamienitą osobę - rzekła młynarzowa i wprowadziła szlachcica do izby.

Posadziwszy go za stołem, jęła wraz z mężem nadszakiwać przybyłemu. Poczęstowała go kolacją na którą podała smaczną jajecznicę z kiełbasą, biały chleb i kompot z wiśni.

Szlachcic posilał się w milczeniu, strzelając oczami na śliczną Kasię. A co jej zajrzał w oczy, to mlaskał i aż się oblizywał.

Noc przeszła spokojnie. Za to gdy rankiem słonko rozpoczęło swą wędrówkę po firmamencie, a wróble poczęły się sprzeczać w gęstwinie olszy i wikliny porastającej brzeg rzeki, gość przyodziawszy się i zasiadłszy za stołem do śniadania, które mu akurat szykowała młynarzowa, w takie słowa ozwał się do niej:

- Co byście powiedzieli, gdybym się wam oświadczył o rękę Kasi? Prawdziwy to pączek różany, słodki a wonny. Nie jest mi równego stanu, ale co tam - pal licha. Pokochałem dziewczkę od pierwszego wejrzenia, a przecie to, i pieniądze najwięcej w małżeństwie się liczą.

I tak trajkotał babie za uszami, tak ją przekonywał, tak się zachwalał, że ona nie bacząc, iż szlachciura ojcem - jeśli nie dziadkiem - mógłby być jej córki, bez wahania zgodziła się na ów ożenek.

Co prawda młynarz, który akurat nadszedł, próbował się przeciwstawić temu, mając na względzie, iż Kasia kochała innego, oraz że mu przyrzekł już jej rękę, wszak i szlachcic i własna żona zalali go potokiem słów, a ostatecznie przekonała pękata sakiewka z koźlej skórki, cała wypełniona złotymi monetami.

- Nie przejmuj się byle dziadem! Daleś mu słowo, phi! Wielka mi rzecz! Pomyśl, przy jaśnie panu Kasi ptasiego mleka nie zabraknie, a przy Jaśku? Będzie biedę klepać całe życie!

Młynarz nic nie mówił. Ważył sakiewkę w dłoni, zaglądał do środka, przebierał pieniądze palcami.

- Niech to złoto będzie zapłatą za zrękowiny. Tylko żeby odbyły się zaraz a gdy dopełnimy formalności, wezmę dziewczynę i na-

tychmiast ruszymy do mojego zamku, by tam się złączyć węzłem małżeńskim.

- To macie zamek, panie?! - z podziwem zawołał młynarz.

- Ano mam. Solidny, stary zamek na szczycie stromej góry.

To ostatecznie przekonało młynarza.

Nie pomogły tży Kasi. Nie pomogły jej prośby i błagania. Zaręczono ją z przybyszem, a zaraz potem szlachcic posadziwszy ją przed sobą na koniu, wbił mu ostrogi w bok i pocałował drogą wiodącą na północ.

- Słuchaj stary - ozwała się młynarzowa po odjeździe córki z leciwym narzeczonym. Nie wiem czy mi się zdawało, czy nie, ale chyba widziałam, gdy nasz zięć siadał na konia, że spod kontusza wyrzwał mu ogon.

- Nie zdawało ci się, matka. To samo spostrzegłem. I jeszcze gdy wiatr zwiął mu grzywkę z czoła, pokazało się coś jakby dwa niewielkie rogi.

- Matko Najświętsza! - zakrzyknęła młynarzowa. - Tośmy dziecko za czarta wydali!

- Za czarta, czy nie za czarta - odparł na to mąż, ważąc w dłoni pękata sakiewkę z kozłej skórki - zawszeć jej lepiej będzie niż za Jaśkiem. Samaś mnie o tym przekonywała. Na złocie będzie sypiać a nie na słomie!

Nadszedł dzień, w którym Jasiak miał poprowadzić młynarzównę do ołtarza. Wystroił się w odświętną kapotę, której pożyczył mu na chwilę tak uroczystą gospodarz, i w otoczeniu družbów pojechał po pannę młodą.

Gdy wóz umajony kwieciami i gałązkami jedliny zatrzymał się przed młynem, naprzeciw Jaśka wyszli młynarz i młynarzowa. Na ich twarzach malował się smutek i powaga.

Ów widok wzbudził jakieś niedobre przecucia w sercu pana młodego.

- Czy stało się coś niedobrego? - zawołał z niepokojem w głosie.

- Oj bardzo, bardzo niedobrego! - zajęczała młynarzowa. - Oj, córuś nasza, Kasiu nasza! Oj, nie masz już jej na świecie, nie masz!

Zbladł Jasiak, a skurcz bolesny jakiś schwycił go za gardło.

- Jak to nie ma?! - zawołał. - Jak to nie ma?! Jeszcze wczoraj była, a dziś jej nie ma?!

Młynarz podszedł do chłopaka, położył mu dłonie na ramionach i z powagą w głosie rzekł:

- Ano, nie ma! - tu westchnął. - Poszła z rana zaczerpnąć wody z rzeczki i już nie wróciła. Szukaliśmy jej z żoną lecz na próżno! Znaleźliśmy tylko chustkę, którą woda zniosła ku brzegowi i zaczęła o gałąź wikliny.

Usłyszawszy takie słowa, ozwali się drużbowie do Jaśka:

- Nic tu po nas. Wracajmy do wsi!

Lecz ów pokręcił głową:

- Pójdę szukać jej ciała. Nie godzi się, by ryby go objadały. Niech spocznie w poświęconej ziemi. Tylem przecie jej winien.

Zwiesiwszy ze smutkiem głowę na piersi, udał się nad rzekę i ruszył z jej biegiem przed siebie. Szedł godzinę i drugą szedł, i wypatrywał baczenie, czy nie ujrzy ciała swej ukochanej.

Minęło południe, nadszedł wieczór, z daleka doleciało jego uszu smutne ryczenie krów wracających z pastwiska do obór.

Ptaki w gałęziach drzew i krzewów odprawiały swoje nieszpory, a od ziemi począł ciągnąć chłód. Uszedł Jasiak wiele mil, ale daremnie. Głodny był srodze i nogi go bolały. Posilił się zatem przygarścią dzikiego szczawiu, którego liście wyrastały ponad murawą, co chociaż stepiło nieco łaknienie, ale jednak go nie zaspokoilo.

Nieopodal widniała zwarta ściana sosnowego lasu. Pomyślał więc sobie, iż najlepiej uczyni, jeśli tam poszuka schronienia za noc, a następnego dnia powróci do wsi, zwątpił bowiem, iż uda mu się odszukać ciało Kasi.

W borze panował już półmrok, nie chciał więc Jasiak nadto zapuszczać się w jego głąb i pilnie rozglądał się dookoła, wypatrując

miejsca sposobnego do snu.

I oto naraz, pomiędzy smukłymi pniami drzew zoczył poblask czerwonożłoty, jaki mogą dawać tylko płomienie sutego ogniska.

Skręcił w ową stronę, a uszedłszy kilkadziesiąt kroków zaledwie, wyszedł na niewielką polankę zarosłą trawą i ziołami, pośrodku której płonęło ognisko. Blisko niego, wprost na ziemi, siedział jakowyś staruch o twarzy gęsto pooranej zmarszczkami, dłoniach kościstych, powykręcanych niczym uschłe gałęzie i białej, mocno przeredzonej, czuprynie. Obok starca leżała żebracza torba i sęka-ta pała wystrugana z jednego konara drzewa.

- Witajcie, dziadku - przywitał się Jasiek. - Nie boicie się sami w borze po nocy siedzieć?

Staruch wzruszył ramionami.

- A czegoż to niby miałbym się bać? - odpowiedział pytaniem. Swoje przeżyłem, biedy zaznałem, niestraszna mi śmierć. Zresztą, czy siak, czy owak, wcześniej, czy później, przecie przyjdzie po mnie kostucha.

- Pozwolicie, że usiądę obok was? - zapytał młodzieniec. - Ogrzeję się nieco, bo chłód i wilgoć ciągną od trawy, a poza tym we dwójkę raźniej.

- Usiądź, usiądź. Weselej mi będzie.

Otworzył dziad torbę i począł wyciągać z niej wiktuały. Czegoż tam nie było?! Kilka skibek chleba, spory kawał sera, pentefko kiełbasy, zyzelek wędzonego boczku...

- Nieźle się wam dziadku powodzi - ozwał się Jasiek. - Takich dobroci to ja i na Wielkanoc nie widuję!

- Cóż, nieźle - przytaknął żebrak. - A wszystko to dzięki łasce boskiej i miłosierdziu ludzkiemu. Ale bierzmy się do jedzenia, bośmy pewnie obydwaj głodni.

Nie trzeba było parobka zbyt zachęcać. Rzucił się na jedzenie z prawdziwie wilczym apetytem. Podjadłszy sobie, położył się obok ognia na boku i począł rozmawiać ze staruchem.

Wypytywał go o jego żywot, o wędrówki po świecie, a w końcu także - wspomniawszy z rozrzewnieniem Kasię - zwierzył się mu ze swego strapienia.

A żebrak jakby tylko czekał na to.

- Nie trap się przed czasem, Jaśku - rzekł.

- Jakże mam się nie trapić, skorom raz na zawsze stracił swe kochanie?

Pokręcił dziadek głową:

- Oj, nie wierz w to, co ci jej rodzice rzekli. Żyje twoja Kasia, srogą mękę cierpi. Oczy wypłakuje po tobie.

- Skądże to wiecie?! - zawołał parobek, gwałtownie siadając na murawie.

- Ja więcej wiem, niż mógłbyś przypuszczać i więcej mogę, niż patrząc na mnie można by sądzić. Jeśli nie stracisz wiary, a nie ulęknieś się przeciwności, możesz odzyskać swoją narzeczoną.

- Jakże ją mogę odzyskać, skoro nie wiem kędy jej szukać?

- Tego mi rzec nie wolno. Dam ci tylko jedną wskazówkę - idź wciąż na północ, sił nie szcędząc, a gdy dotrzesz w poblize miejsca gdzie Kasia przebywa, samo serce ci podpowie, żeś do niej trafił.

- Ale musisz wiedzieć - ciągnął starzec - że wiele cię czeka przeciwności, wiele trudu! walka nawet. Czy starczy ci odwagi?

- Starczy! Starczy! Skoro wiem, że żyje nie ustane póki jej nie znajdę!

- Jeśli tak, jeśli twoja miłość jest silna, a postanowienie mocne, weź Jaśku ów kostur wystrugany z gałęzi rajskiej jabłoni. On cię obroni przed każdym wrogiem, który stanie na twej drodze. Jeśli walczyć ci przyjdzie, wystarczy iż po trzykroć ową laską uderzysz o ziemię, a strach wielki porazi twego przeciwnika i łatwo go pokonasz. Mając tak cudowny przedmiot nie musisz się lękać nikogo - czy będzie to zwierz, człowiek, czy nawet szatan, ty zawsze zwyciężysz.

Gniew jest złym doradcą

Dawno, dawno temu - ale jak dawno, nie pytaj mnie mój miły Czytelniku, bo tego akurat nie wiem - w pewnej wsi położonej na skraju prastarego sosnowego boru, żył ojciec, który miał trzy córki.

Jego żona, a matka dziewcząt, umarła przed laty, kiedy dzieci były zupełnie małe i od tamtej pory mieszkali tylko we czwórkę, a dobrze im było ze sobą, choć nie zawsze łatwo i nie zawsze lekko. Ot, jak to w życiu bywa.

Nie raz i nie dwa namawiali ludziska ze wsi naszego gospodarza, naszego Józefa (bo Józef mu było na imię), żeby nie trwał uparcie we wdowieńskim stanie, lecz poszukał sobie nowej żony, zaradnej, a gospodarnej, takiej która by umiała zająć się domem i pomogła mu w wychowaniu dzieci.

Ale on bał się sprowadzić obcą kobietę pod swój dach. Bał się, że mogłaby nie pokochać jego córek, dla których byłaby tylko macochą. A one przecież stanowiły dlań cały sens i całą treść życia.

Nie było im łatwo. Chociaż uprawiali spory spłacheć ziemi, piaszczysta ona była i nieurodzajna, tak iż z trudem tylko mogła ich wykarmić.

Lecz nie narzekali, zadowolając się owym, co im, nie zawsze łaskawy, los zsyłał.

Kiedy dziewczynki były malutkie, samotnie borykał się z życiem, ale kiedy z dzieci stały się podlotkami, na miarę swoich sił i możliwości pomagały ojcu.

A to posprzątały obejście, zamiotły izbę, zrobiły przepierkę, ugotowały obiad, nakarmiły kury, zadały bydłu siana, czy wydoiły krowy.

Nasz Józef cenił sobie ową pomoc i cieszył się, dziękując niebu, że dało mu dobre i posłuszne potomstwo.

Bo istotnie, wszystkie trzy dziewczyny bardzo różniły się od swoich rówieśnic. Nie zaprzętały im głów myśli płocze i swawolne. Śmierć matki chyba to sprawiła, że przed czasem dojrzały, stając się poważne i odpowiedzialne.

Lecz nie myślcie sobie, iż w chałupie Józefa smutno było i ponuro. O nie! I ojciec, i córki mieli wesołe usposobienie i często lubili żartować.

* * *

Zapadł jesienny, wczesny zmierzch. Wiatr za oknem wył, miotając strugi dżdżu, które bębniły o małeńkie szybki jedynego okienka izby, w której siedział Józef z dziewczętami.

Konary rosnącego na podwórzu ogromnego wiązu, skręcały się i ugiwały pod uderzeniami gwałtownych podmuchów wichury.

Burek uwiązany na długim konopnym postronku, jakby rozumiejąc, że w taką pogodę żaden zły człowiek nie zjawi się w ich obejściu, podkuliwszy ogon, ze skomleniem skrył się w swojej niezbyt dużej budzie, zbitej z nieheblowanych sosnowych desek.

Tymczasem w izbie, pod kuchennym piecem, rozpalono ogień, a z garnka unosił się smakowity zapach barszczu gotowanego na mocno uwędzonej w jałowcowym dymie, kiełbasie.

Lampa naftowa zawieszona na wielkim gwoździu wbitym w ścianę rzucała żółtawy poblask, kładąc po kątach cienie, które ożywały, gdy płomyk poruszany lekkuchnym powiewem, drgał niespokojnie.

Skoro wieczera się ugotowała, najstarsza z córek ponakładała na talerze po kilka nieutłuczonych, całych, ziemniaków, po kawa-

lątku kielbasy (którą ojciec dostał od bogatego sąsiada za pomoc przy orce) i na koniec, nie skąpiąc go, nałała barszczu.

Zasiedli wszyscy razem, cała czwórka przy wspólnym stole i ze smakiem zajadali tak wyborną wieczerzę, jaka niezbyt często się im trafiała.

Szczególnie smakowała wszystkim owa wonna kielbasa, uchodząca w tej rodzinie za wyjątkowy przysmak, jako że z rzadka tylko ją widywali, spożywając na co dzień zwykle postne posiłki.

Skoro sobie podjedli do syta, Józef rozparł się wygodnie na swoim zydłu i popatrzywszy z czułością na córki, zapytał:

- No, powiedcież mi dziewczyny, a kochacie wy aby swego ojca?

- Pewnie, tatku, pewnie! - potwierdziły wszystkie trzy zgodnym chórem.

- A czymże mnie która z was kocha? - indagował ojciec dalej.

- Ja cię, ojczu, kocham miodem - powiedziała najmłodsza Marysia.

- No, no! To dopiero będę miał słodkie życie! - ucieszył się ojciec.

- A ty czym mnie kochasz Jadziu? - zwrócił się do średniej.

- Ja cię kocham cukrem!

- Też nie najgorzej!

Józef uśmiechnął się pod wąsem i z zadowoleniem gładził czuprynę.

A teraz twoja kolej, Rozalko. Teraz ty mi odpowiedz.

- Ja zaś, mój tato, kocham cię solą.

- Czym?! - Józef nie od razu zrozumiał co powiedziała Rozalka.

- No przecież mówię, solą.

Tego się nie spodziewał. To on tak bardzo miłuje ową dziewczynę. Zrobiłby dla niej wszystko, ba! życie by oddał, gdyby tego było trzeba, a ona mu tu takie rzeczy opowiada... Solą!...

W Józefie począł wzbierać gniew. Z mocą uderzył pięścią w stół, aż z brzękiem podskoczyły naczynia. Poczzerwieniał na twarzy, i tchu mu zabrakło.

- To ty taka?! Taka?!!!

Rozalka przestraszona spojrzała na ojca, nie rozumiejąc czemu na nią krzyczy, waląc przy tym pięścią w stół i groźnie wymachując rękoma.

A tymczasem on wrzeszczał dalej:

- Ach, niewdzięcznico! Skroś taka, to ja cię więcej nie chcę znać! Precz mi z domu! Poszukaj sobie innego miejsca w świecie, bo pod moim dachem już go nie masz! Wynocha!

Kiedy dziewczyna zrozumiała wreszcie, o co ojcu chodzi, zanosła się płaczem i nie oglądając się nawet, rozwarłszy drzwi, wybiegła z chałupy.

Wiatr i deszcz smagały ją po całym ciele, ale ona nie zważając na to, biegła przed siebie, het! gdzie oczy poniosą.

Rychło opuściła wieś i pomaszerowała szerokim gościńcem prowadzącym prosto, jak strzełił, ku stolicy.

Tymczasem ojciec, kiedy minął już kęs czasu, ochłonął nieco z gniewu i rozważywszy teraz wszystko na spokojnie, doszedł do przekonania, iż źle, a nawet bardzo źle uczynił, wypędzając najstarszą córkę z domu.

Skoro się zatem zmiętygował, przywdział kapotę, skórzane buty z cholewami, na głowę nacisnął okrągłą czapkę z daszkiem i ruszył na poszukiwanie Rozalki.

Ciemno było, dżdżysto i ponuro, a ponadto nie wiedział, w którą stronę to ma obrócić się stronę i dokąd to mogła ona uciec.

Obszedł więc wszystkich krewnych i znajomych, u których spodziewał się znaleźć dziewczynę - lecz na próżno. Przepadła - niczym kamień w wodę!

Oj, nie mógł Józef spać tej nocy, nie mógł. Co i raz podnosił się i siadał na posłaniu, nasłuchując czy nie dobiegną go kroki powracającej Rozalki.

Nad ranem przestało padać, a i wiatr ucichł. Z pierwszym brzaśkiem, kiedy koguty jęły pisać po zagrodach, ruszył Józef ponownie na poszukiwanie dziewczyny.

Przewędrował cały powiat - wszystkie okoliczne wsie i miasteczka. Na próżno przecie rozpytywał o zaginioną. Nikt nigdzie nie widział Rozalki.

Po blisko dwu tygodniach dał wreszcie za wygraną, uświadamiając sobie, iż w domu ma jeszcze dwie córki i obowiązki względem nich.

Wzdychając zatem, z ciężkim sercem i sumieniem nabrzmiętym wyrzutami, powrócił do rodzinnej chałupy.

I od tamtej pory już nic nie było po dawnemu. Radość opuściła szczęśliwą dotąd rodzinę i smutek stał się ich współdomownikiem.

* * *

Mijały dni, miesiące i lata. Marysia i Jadzia dorosły i założyły własne rodziny. Józefowi zaś posiwiała czupryna i przygarbiły się plecy.

Robak żalu, smutku, nieustanny wyrzut sumienia gryzł go i dręczył, nie dając chwili spokoju.

Nigdy bowiem nie pogodził się z faktem utraty Rozalki i każdego dnia - rano i wieczorem - przepraszał Boga za grzech jakiego się dopuścił wobec Niego i wobec własnego dziecka, błagając jednocześnie o to, iżby dane mu było kiedyś naprawić wyrządzone zło i uzyskać przebaczenie córki.

* * *

Któregoś czerwcowego poranka, gdy słońce wypłynąwszy spoza lasu na firmament rozświetliło wszystko dookoła złocistymi promieniami, czyniąc świat pięknym i radosnym, poprosiwszy uprzednio Marysię, by zaopiekowała się chałupą, dobytkiem i zwierzętami, spakował Józef nieco żywności do węzełka i wzięwszy w dłoń podróży kostur, puścił się het! w świat, z nadzieją, iż tym razem los okaże się łaskawszy, że tym razem odzyska przed laty utraconą córkę.

Wędrował tak przez wiele dni i przez wiele tygodni. Dawno już przemieńta pora żniw, a liście na drzewach pożółkły i poczerwieniały, wieszcząc tym samym nadchodzącą jesień, a Józef nie tylko nie odnalazł Rozalki, ale nawet nie natrafił na jej najmniejszy ślad.

„- Przemierzę jeszcze tylko ulice stolicy. Może tutaj ją spotkam?... A jeśli nie, wrócę w rodzinne strony, pod rodzinną strzechę, przepędzę tam zimę, a z wiosną na nowo ruszę na poszukiwania” - pomyślał.

Żywność zabrana ongiś w węzłku dawno mu się już była skończyła. Skończyły mu się też i pieniądze. Cierpiał więc biedę, żyjąc wyłącznie tym, co mu czasem ludzie z litości dawali, nocując, gdzie Bóg pozwolił: w zaroślach, pod mostami, a z rzadka tylko w izbach, bo mało było takich, którzy nie baliby się wpuścić włóczkę pod swój dach.

Wędrując zatem stołecznymi ulicami zastanawiał się Józef, gdzie tym razem skłoni głowę. Wielkiego miasta nie znał, a ponadto wzbudzało ono w nim lęk.

Jakże się więc ucieszył, gdy oto naraz posłyszał za sobą kobiecy głos:

- Nie macie gdzie nocować, ojczulku? Noclegu szukacie?

Obejrzał się. Stała przed nim dorodna i urodziwa kobieta, licząca może trzydzieści, może trzydzieści dwa lata.

- Oj! Zgadła pani, zgadła. Noc się zbliża, a jam tu samotny i zagubiony.

- Zatem chodźcie ze mną, a ja was przenocuję.

Począł Józef posłusznie za nieznaną, ciesząc się w duchu i gorąco dziękując Bogu za to, iż przynajmniej tej nocy nie będzie musiał spędzić pod gołym niebem.

Minął spory kęs czasu i wiele przemierzyli ulic i zaułków, aż wreszcie stanęli przed okazałą kamienicą, której fasada zdobna była głowami aniołków, a pomalowana na ciemnożółty kolor.

Izdebka, do której kobieta wprowadziła Józefa była niewielka, ale schludna i przytulna.

O pastuszku, owcach i Wyspie Szczęśliwości

Działo się to dawno, dawno temu. Jak dawno, tego nie wiem, ale zapewne w czasach, gdy znaczną połąć kraju porastały puszcze, czyste rzeki toczyły swe wody do czystych mórz i jeszcze co poniektórzy ludzie rozumieli mowę zwierząt, a niektóre zwierzęta potrafiły mówić ludzkim głosem. Słowem, działo się to na długo przed narodzinami naszych pradziadków.

Na skraju niewielkiej wioski, która rozlokowała się na zboczu wapiennego wzgórza, w starej, rozwalającej się chacie, mieszkał pewien chłopiec. Mieszkał sam, bo nie miał nikogo na świecie.

Nie był już dzieckiem, nie był też jednak i dorosłym i chociaż bardzo tego potrzebował, trudno mu było wynająć się do jakiejś roboty. Bogaci gospodarze z lekceważeniem spoglądali na jego wątłe ciało i odmawiali mu zatrudnienia słowami:

- Szukaj szczęścia gdzie indziej. Przecie ty więcej zjesz, niż wypracujesz!

Chodził więc chłopak ustawicznie głodny i smutny, marząc o jednym tylko: aby się kiedyś zły los odmienił. Nie, nie roilo mu się bogactwo bynajmniej, lecz pełny brzuch i suty ogień na kominie w jesienne szarugi i zimowe zawieje.

Tymczasem jednak wędrował od chaty do chaty, lecz choć w niektórych częstowano go obiadem albo skibką chleba i garnuszkiem mleka, to jednak pracy dla niego nie było.

Ale skoro wiosna zapachniała roztającą ziemią, pola i łąki pokryła świeża zieleń, a słońce coraz wyżej wspinające się na nieboskłon, już całkiem mocno przygrzewało, zlitował się nad wyrostkiem - sierotą pewien owczarz.

- Będziesz moim pomocnikiem przez całe lato, a może i dłużej - powiedział. Dopilnujesz owiec, nauczysz się je strzyc, doić, wyrabiać smaczne sery z ich mleka. Jeśli okażesz się pilny i pracowity, tu może uchylę nieco rąbka tajemnicy i przekażę ci część wiedzy o chorobach i leczniczych mocach ziół. No cóż? Chcesz zostać pastuskiem?

- Pewnie, pewnie że chcę! - ucieszył się chłopak.

- I zapewniam cię, iż nie zaznasz głodu - dorzucił owczarz. Będziesz miał pod dostatkiem chleba, mleka, sera, a i od czasu do czasu pokosztujesz mięsa, gdy zarżniemy owcę czy jagniątko.

Od tej pory chłopak stał się zupełnie inny. Gdy przestał czuć pustkę w brzuchu, na jego twarzy często pojawiał się uśmiech. Był nadzwyczaj pilny i pracowity. Nigdy owczarz nie musiał dwa razy powtarzać polecenia. Co najważniejsze jednak - pastuszek bardzo kochał zwierzęta.

Lubił głaskać głowy owiec, przytulać twarz do ich miękkiego runa, przemawiać czule, jakby do ludzi. Owce prędko zroszczyły, iż chłopak jest ich prawdziwym przyjacielem i na jego przyjaźń odpowiadały przyjaźnią.

Wśród licznego stada znajdowała się jedna, bardzo piękna owieczka, różniąca się znacznie od pozostałych. Była jakaś delikatna, drobniejsza, bardziej smukła, a jej wełna lśniła czystością. Lubiła się trzymać nieco na uboczu, skubać trawę i wonne zioła mniej łapczywie od pozostałych.

Pastuszek prędko na nią zwrócił uwagę i częściej niż inne zwierzęta obdarzał pieszczotą czy czułym słowem. Gdy mówił do niej, owca wpatrywała się w jego twarz oczami wielkimi, smutnymi, o fiołkowej - nie spotykanej u innych - barwie, jakby rozumiała co powiada.

Często też sama, gdy chłopiec nie miał czasu, lub zapomniał ją pogłaskać, podbiegała do niego i przytulała się do kolan.

Przez całe lato pasterz i owca żyli się mocno ze sobą i chyba trudno byłoby się im rozstać. Zresztą sierota nie dopuszczał nawet takiej myśli do siebie.

* * *

Któregoś jesiennego ranka, gdy mgła kłębiła się po parowach, liście na drzewach straciły swój zielony kolor i ubarwiły złotem i purpurą stary owczarz rzekł do swego pomocnika:

- Najwyższy czas, chłopcze, przejrzeć nasze zwierzęta.

Cały dzień minął im nadzwyczaj pracowicie. Stary każde zwierzę oglądał bardzo dokładnie i w zależności jak wypadły oględziny, przyłączał je do jednego z trzech mniejszych stadek, na które wielkie stado podzielił.

Jedne owce miał hodować dalej, inne sprzedać, inne wreszcie przeznaczyć na rzeź, bo uznał, iż nie zasługują na lepszy los.

Pośród tych ostatnich znalazła się również owieczka - przyjaźniółka pastuszka.

Próżno chłopak prosił, ba! błagał! Próżno zebrał litości dla niej. Próżno zalewał się łzami. Próżno całował ręce gospodarza. Ów nie dawał się przekonać:

- Nie zwracaj głowy! Przestań wreszcie! Cóż się uparł, abym owej owcy życie darował? A jakież z niej pożytek? Słabe toto, liche a delikatne. Mleka nie daje, wełny niewiele. Jakież sens karmić ją przez zimę? Może bym się i dał ubłagać, gdybym miał pewność, że ją ktoś zechce kupić. Ale sam patrz! Nie znajdzie się żaden amator! Pójdzie pod nóż, to moje ostatnie słowo. I więcej mnie nie męcz.

* * *

Szary zmierzch przyszedł wcześniej, jak to jesienią bywa, a wraz z nim przyszła szaruga. Wiatr wył przeciągle i miół zimne strugi dżdżu. Trząsał konarami drzew, zrywał z nich liście i ciskał je na ziemię.

Pastuszek nie mógł usnąć. Przewracał się z boku na bok na posłaniu z siana, przykryty ciepłym baranym kożuchem. Wsłuchiwał się w jęczenie wichru, czując jego chłodny oddech, wdzierający się szparami do szałas.

Przed oczami wciąż mu się jawiła jego przyjaciółka - owieczka, wpatrzona w jego twarz błagalnie, jakby prosząc o ratunek. Wzdychał chłopak ciężko i przemyślał w jaki sposób mógłby ją ocalić. Ale nie widział żadnego. Na tyle już poznał owczarza, iż był pewny, że skoro coś raz rzekł, to choćby się waliło i paliło, owo wykona.

- Niechaj się dzieje co chce! - mruknął sam do siebie z determinacją. - Niechaj się dzieje. Nie ma rady. Tylko jedno mi pozostało.

Zwłócił się z posłania, szczelniej owinął lichą kapocinę, jakby to mogło go uchronić przed zmoknięciem i chyłkiem wysunął na dwór.

Wiatr miół lodowate strugi dżdżu prosto w jego twarz. Rychło z włosów pozlepianych w mokre strąki jęły spływać strużki, cisnące się do oczu, ust, nosa.

Skulił się pastuszek jeszcze bardziej i przemknął do zagrody, gdzie jego owieczka czekała na śmierć, którą miał jej następnego ranka przynieść długi a ostry nóż gospodarza.

Mimo, iż ciemno było choć oko wykol, bez trudu odnalazł swoją przyjaciółkę i delikatnie popychając ją do wyjścia, wyprowadził z zagrody.

Długu wędrowali po oślizgłych ścieżkach, potykając się o kamienie i tracąc równowagę na rozmokłym gruncie, aż wreszcie dotarli do starej, wpół rozwalonej chałupy, oddalonej od uczęszczanych ścieżek, przez co nikt nigdy tam nie zaglądał.

- Zostań tutaj, owieczko. Zostań i nie bój się. Nie dam cię ukrzywdzić - wyszeptał chłopak i przymknął za sobą rozbite drzwi, po czym co sił w nogach pobiegł na powrót do szałas.

* * *

Nad ranem przestało padać, a przed południem nawet zaświeciło słońce. Smętnie wyglądały nagie, prawie całkiem już pozbawione liści, gałęzie drzew, czarniawymi krechami rysujące się na białosynym tle nieba. Od mokrej ziemi ciągnął dojmujący chłód.

Stary owczarz, wziąwszy pastuszka do pomocy, udał się do zagrody zwierząt przeznaczonych na ubój. Rozejrzał się bacznie raz i drugi, a później ze złością zapytał:

- A gdzie się ta owca podziała?

- Nie wiem, gospodarzu. Nie wiem.

- Nie wiesz? Nie wiesz, powiadasz? A niby kto ma wiedzieć? Toż to twojej pupilki brak. Akurat tej, coś chciał u mnie wczoraj jej życie wytargować!

- Może ją wilki pożarły, a może kto ukradł? - wyszeptał chłopak.

- Nie łzyj, łobuzie jeden!

- Nie krzyczcie gospodarzu na mnie! Jam niewinny!

- Patrzcie go łotra?! Niewinny! A gdzieżeś łaził po nocy? Gdzie łaził, jeśli nie wyprowadzić stąd owcę?!

- Nigdzie nie chodziłem - próbowałem się bronić kłamstwem pastuszek.

- No! Tego już zbyt wiele! - rozjuszył się owczarz. - Nie chodził! Nie chodził! Jeszcze mu portki nie wyschły do tej pory, a łże! Taka to twoja wdzięczność? Za moje dobre serce, za litość nad tobą, nędzniku, kradzieżą się odpłacasz. Nie żałowałem ci chleba, nie skąpiłem mięsa, a tyś mi owcę ukradł?!

Odwiązał owczarz gruby sznur konopny, którym miał przepasać kożuch i dalejże bić nim chłopaka. A ów nie protestował, nie

uciekał, tylko zakrywszy twarz przed razami, cierpliwie znosił karę.

Gdy owczarzowi ramię się zmęczyło, krzyknął gromkim głosem:

- A teraz precz! Precz z moich oczu! Wynoś się stąd złodzieju i niewdzięczniku! Żebyś cię nigdy więcej nie widział!

Łzy napłynęły do oczu sieroty, bo lubił gospodarza. Wiedział, iż źle uczynił zabierając mu jego własność, ale przecie za żadną cenę nie mógł pozwolić, by owieczka straciła życie. Z rezygnacją poddał się karze, jakby próbując w ten sposób wynagrodzić poniesioną stratę.

Gdy usłyszał owe twarde słowa i pojął, że naprawdę nie ma już tutaj czego szukać, powlókł się obolały od zadanych razów przed siebie.

Szedł powoli, noga za nogą aż dotarł wreszcie do chałupy, w której nocą ukrył zwierzę. Chciał je ze sobą zabrać i iść w świat, precz, gdzie oczy poniosą.

Ale nie znalazł owieczki. Poruszone wiatrem, szeroko otwarte drzwi, skrzypiały przeraźliwie. Wpół zasypane śmieciami i gruzem izdebki były puste.

Poczuł się chłopiec jeszcze bardziej samotny i opuszczony. Znów nie miał nikogo, zupełnie nikogo. Przysiadł na progu, zapatrzył się w najdalszą dal, w odległy horyzont szaroliliową mgiełką zasnuty i rozplakał się w głoś.

Cały dzień i całą noc, która po dniu przyszła, spędził w rozwalinach chaty, ale wraz z brzaskiem następnego dnia głód wyгнаł go stamtąd.

Wyszczerbionym kozikiem wyciął gruby, prosty pręt leszczyny i uczynił zeń podróżną laskę, potem zaś ruszył w drogę, bez żadnego planu, nie wiedząc co los przyniesie.

I błakał się od wsi do wsi, zebrząc kromki chleba. Jedni litowali się nad sierotą i dawali, inni pędzili precz, a nawet szczuli psami.

Z dnia na dzień robiło się coraz zimniej. Nocami powierzchnie płytkich kałuż rozpościerających się pośrodku gościńca, powlekały się delikatną i cienką warstewką lodu, która pękała z trzaskiem z lekka nawet nadepnięta nogą.

Pożółkła trawa okrywała się srebrzystym szronem, który topniał dopiero pod południe, gdy słońce wyżej wspinało się na niebieską powałę.

- Weźcie mnie na zimę! - prosił gospodarzy we wsiach, przez które przechodził. - Weźcie mnie. Będę rąbał drewno, doglądał zwierząt. Znam się na młocce. Będę robił wszystko, co mi każecie. Nie chcę wiele, trochę chleba czy krupów, abym tylko nie umarł z głodu, a spać mogę w stajni.

Ale nikt nie chciał go przyjąć. Wszyscy przepędzali. A on rozmyślał coraz częściej nad popełnionym błędem.

- Ach, gdybyż nie wyprowadził tamtej nocy owieczki, miałyby teraz i dach nad głową i pełny brzuch. A tak? Cóż. Dopuszczał się kradzieży, utracił wszystko i popadł w biedę.

Aż razu pewnego, gdy jak zwykle szukał schronienia na zimę w małej wsi pewien chłop zażartował zeń mówiąc:

- Idź ciągiem na południe, a nie ustawaj, to w końcu dotrzesz do krainy, gdzie nie ma zim. Drzewa kwitną tam przez cały rok, a trawa zawsze jest zielona!

„- A właściwie, to cóż innego mi pozostało? No cóż?” - pomyślał chłopak, i tak jak mu ów żartowniś doradził, ruszył na południe.

Szedł, i szedł, i szedł niestrudzenie. Dnie układały się w tygodnie. Minął niebotyczne góry, gdzie leżał już głęboki śnieg i zapuścił się w doliny po ich drugiej stronie.

Wydostał się na rozległą równinę, gęsto zaludnioną, kędy pełno było miast i wsi, a ludzie gadali w języku, którego nie rozumiał. I rzeczywiście, było tak jak mówił ów chłop. Im bardziej oddalał się od swych stron rodzinnych, im głębiej zapuszczał na południe, tym cieplej się robiło.

Na koniec dotarł do kraju, gdzie drzewa gęsto okrywały liście, trawa była zielona, a nikt nie wiedział co to lód i śnieg.

Prócz tego jednak, iż było mu cieplej, nie zyskał niczego nadto. Wciąż był bezdomny i wciąż był głodny. Przez wszystkie owe tygodnie przyzwyczał się chłopak do ustawicznej wędrowności. Toteż gdy któregoś popołudnia przyszedł nad brzeg morski, ogarnął go smutek, że nie będzie już mógł ruszyć dalej, że oto kres włóczęgi.

Osiedlił się w wielkim portowym mieście. Łatwiej mu tu było niż we wsi rodzinnej. Sypiał w bramach kamienic, a żywił tym, co dało miłosierdzie ludzkie.

Całymi dniami lubił wałęsać się po porcie. Patrzył zachłannie na wielkie żaglowce, które dostojnie wypływały na pełne morze. Coraz miłszy jego uszom stawał się łoskot żagli, coraz miłszy słony zapach wiatru wiejącego ku lądowi.

Myślał, iż dobrze byłoby popłynąć hen, daleko. Skryć się za najdalszą dalą horyzontu. Ale cóż, nie umiał dogadać się z szyprami, bowiem nie znał żadnej obcej mowy.

Jakaż więc była jego radość, gdy któregoś dnia posłyszał słowa, które mógł zrozumieć. To dwaj kupcy rozmawiali ze sobą:

- Oj, przydałby się nam w zamorskiej podróży sługa - ozwał się jeden z nich.

- A pewnie, żeby się przydał - przytaknął drugi. - Tylko jak go zdobyć? Tutejsi żądają wygórowanej zapłaty, a nietutejsi boją się puścić za ocean.

- Podśledzałem, że szukacie sługi - zagadnął ich chłopiec. - Czy nie wzięlibyście mnie?

Zmierzyli go kupcy od stóp do głów krytycznym wzrokiem:

- Et, chudyś i zaniedbany. Wpierw trzeba by cię odpaść, nauczyć roboty. My zaś nie mamy na to czasu, ani pieniędzy, ani chęci - orzekli.

- Weźcie mnie, proszę! Weźcie! Ja wiele umiem. Nie chcę też żadnej zapłaty. Starczy, że się przy was pożywię.

Kupcy zawahali się, w końcu jednak dali się ubłagać.

Krysia, Jasiek i Śmierć

Muzykanci rżnęli od ucha do ucha. Od przytupywań i pokrzykiwań aż drżały ściany leciwej chałupy, w której odbywało się wesele Jasia i Krysi.

Choć dawno już minęła północ, to przecież goście, najedzeni do syta i podochoceni gorzałką, nie czuli zmęczenia. Radośnie było, ej! radośnie!

Tymczasem państwo młodzi, natańczywszy się i naśpiewawszy do woli, pożegnali się z weselnikami i udali na spoczynek do sąsiedniej izby, gdzie czekało na nich obszerne łóżko wymoszczone poduchami i przykryte wielgachną pierzyną, mocno wypchaną gęsim puchem.

Mimo, iż i tutaj doskonale słychać było odgłosy biesiady i zabawy, zmęczenie młodych było tak wielkie, że nie wiedzieć kiedy - ledwie tylko przyłożyli głowy do poduszek - zapadli w kamienny sen.

Nie wiadomo jak długo spali, ale chyba raczej krótko (bowiem za oknem wciąż było ciemno), gdy naraz oboje - zgoła nagle - obudzili się jak na komendę.

Przez okno wpadał srebrnosiny blask księżyca, a że ów znajdował się akurat w pełni, światło było na tyle mocne, że dało się przy nim dokładnie rozróżnić wszystkie sprzęty znajdujące się w izbie.

Jasiek i Krysia - całkiem otrzeźwieni i przytomni - usiedli na posłaniu i bacznie rozejrzeli się dookoła.

Wielkie było ich zdziwienie i przerażenie zarazem, kiedy u stóp małżeńskiego łóża dostrzegli mglistą, zwiewną postać kobiecą, przyodziałą w długą, białą i powłóczystą szatę.

- Kim ty jesteś? - zapytał Jasiak, chcąc przed Krysią popisać się odwagą. I czego chcesz od nas?

- Jestem Śmierć - odparła zjawą. - Ale nie lękajcie się, nie przyszłam bowiem do was w złych zamiarach.

- Jeśli nie w złych, to po co? - drżącym głosem zapytała Krysia.

- Otóż przyszłam - odrzekła śmierć - aby was zapytać jakie życie chcielibyście mieć?

- Długie i szczęśliwe - bez namysłu, jednym głosem, odparli państwo młodzi.

- Otóż tak dobrze nie było i nie ma. Nie darmo świat, na którym żyjecie, nazywają padolem łez. Nie możecie zaznawać wyłącznie rzeczy miłych i przyjemnych. Smutek także jest nieodłączny waszemu losowi.

- Zatem po cóż pytasz o coś, na co i tak nie mamy żadnego wpływu? - rozeźlił się Jasiak.

- Nie do końca masz rację - Śmierć uśmiechnęła się krzywo.

- Możecie bowiem dokonać wyboru, kiedy chcecie żeby wam było źle: teraz, czy na starość?

- A ile nam dasz czasu do namysłu? - zapytała Krystyna.

- Wiesz przecie, że każesz podjąć niezwykle trudną decyzję, a tego się nie robi na chybcika.

- Nie ode mnie owo zależy do końca. Wyższe siły mną kierują. Właściwie powinnam wam kazać wybierać natychmiast, ale dam wam czas do jutrzejszej nocy.

- A nie dałoby się do pojutra?

- Nie. Ani okruszyny dłużej. Jutrzejszej nocy, o tej samej porze, spodziewajcie się mojego przybycia. I miejcie już gotową odpowiedź. A uwierzcie mi: to wszystko nie żarty!!!

Chciał Jasiak jeszcze coś tam rzec, ale urwał w pół słowa, Śmierć bowiem zafalowała, zadrgała i w mgnieniu oka rozplynęła się w powietrzu.

Spis treści

Grzeczność wynagrodzona	5
Opowieść o czarodziejskiej lasce	17
Gniew jest złym doradcą	32
O pastuszku, owcach i Wyspie Szczęśliwości	40
Kryśia, Jasiek i Śmierć	53
O szewczyku, który miał litościwe serce	67
Pastuch i diabeł	76
Opowieść o królu pysznym i zarozumiałym	84
O marności tego świata i posłuszeństwie synowskim	92
O lichwiarzu i jego pieniądzach	98